



TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

Zbiór legend i podań dawnych,

przez M...a

JASTRZĘBIEC alias BOLESZCZYC.

(Krzyż w podkowie na tarczy, u góry w hełmie, jastrząb.)



d lat kilku panował w Polsce król Władysław Jagiełło. We wsi Bensowej, w pięknym, niedawno wymurowanym z wielkim nakładem kościele, odbywał się skromny na pozór obrządek, ale mimo swęj skromności, ściągający oczy wszystkich obecnych, a tych było dużo, zwyczajnie, jak na niedzielne i uroczyste nabożeństwo. Nie to nabożeństwo przecież zwracało na się oczy ludzkie, bo kierowały się one mimowoli w bok wielkiego ołtarza, gdzie w konfe-

Kilka było takich samych konfesyonałów w kościele i wszędzie całe gromadki ludu tłoczyły się około pokutnika, czekając na swoją kolej, tylko tam, gdzie klęczał ów szlachcic okazały, ciżba odsunęła się daleko, półkołem otaczając go rozległym, przez uszanowanie widocznie. Daleko w kącie jakaś wiejska kobiecina, klęcząc z małym synaczkiem pokazywała mu go palcem, szepcząc do ucha samego, aby szmeru nie robić:

— A widzisz ty, Wojtek, jaka to wielka rzecz jest ksiądz!... widzisz ten pan, co tam klęczy u spowiedzi, to jest taki pan, co mu Ścibór na imię i pan jest on okrutny, wojewoda na całą łęczycką ziemię taki możny, że ani przed samym królem jegomością nie klęka, a no teraz widzisz, jak klęczy?... a wiesz ty, kto tam spowiedzi jego słucha?... A to widzisz nasz pan, co ten kościół zmurował, wojewody tego rodzony brat!... Tedy będziesz wiedział, co to za wielka rzecz jest ksiądz, kiedy aż sam pan wojewoda przed nim klęka?...

— Ej, matusiu, czyliż to pan wojewoda przed księdzem bratem, czyli raczej przed Panem Bogiem przez pokorę klęczy?... — odparł chłopak, nigdy jak widać w ciemię nie bity, tak samo do ucha matczynego szepcząc. Matka zaniemówiła na chwilę, rozumem syna zdziwiona, a potem rzecze, nie mogąc utaić radosnej żeń dumy:

— A widzisz, jaki to ty mądry; juźci tak jest, jak powiadasz, ale zawsze, co pan wojewoda u stóp swego brata klęczy, to klęczy, a no czy Jasiek twój brat klęknie tak wedle ciebie, chociażęś ty taki mądry? he?...

syonale, jak zwykle, siedział ksiądz, a u jego boku klęczał wysokiego wzrostu szlachcic, odbywający katolicką spowiedź.

— Jak i ja będę księdzem, to klęknie; — stanowczo zapewnił mały Wojtek.

— A!... aha!... twoja prawda: a no widzisz, aby księdzem zostać, trzeba się najprzód tego uczyć! okrutnie tego! Tedy ucz się Wojtek, abyś księdzem został!...

Taki ze swój niezbyt logicznej rozmowy sens wywiódłszy, do którego widocznie dążyła, chłopka ucieszona zajęła się modlitwą, spoglądając mimo to chcąc nie chcąc, to na mądrego Wojtkę swego, to na księdza, spowiadającego pana łączyckiego wojewodę, jakby ich z sobą porównywała.

Były to owe czasy, w których za sprawą królowej Jadwigi, po przeniesieniu ze wsi Bawoła do Krakowa i zupełnem urządzeniu akademii, kielkował już wśród ludu polskiego ów wielki zapal do nauk, który następnie wzmógł się tak bardzo, że aż musiano prawem ograniczać liczbę kmiecych synów, mogących oddawać się naukom, aby nie odrywać od roli rąk koniecznych do jej uprawy. Matka małego Wojtkę należała śnać do postępowych owego czasu wieśniaczek i przeto zachęcała syna do nauki, jak mogła, nadzieją wysokich dostojęństw, wśród których najwyższem jednak uznawała dostojęństwo księdza. Chłopką rządziła przedewszystkiem duma, którą powodowana kobieta ani spostrzegła, że zwracała głowę małemu chłopakowi daleko więcej niż chciała. Zdziwiła się też niezmiernie, gdy po wyjściu gromadnem z kościoła nie ujrzała syna przy sobie. Nie zartwożyła się przecież wcale;

— Puściłam jakoś dzieciaka z ręki, to się i zaplątał wśród ludzi — myślała — będzie on w chacie jeszcze pierwój odemnie, jeżeli nie napotkamy się w drodze.

Idąc, rozglądała się przecież za chłopcem, a gdy go i w chacie nie zastała, tedy wyszedłszy na gościniec, nawoływać zaczęła. Że jednak mężowi trzeba było dać jeść, zatem gospodyni zajęła się obiadem, opowiadając mężowi i rodzicom swe zmartwienie:

— Nie bój się nic, ino stawiaj jadło: znajdzie się chłopak do misy — pocieszał ją mąż Jędrzej, i Jędrzejowa uznała najzupełniej słuszość tej pociechy; gdy przecież Wojtuś nie stawiał się do misy nie tylko w południe, ale nawet i wieczorem, natenczas w Jędrzejowej chacie stał się lament, który nazajutrz rano zamienił się w rozpacz prawdziwą, gdy wszelkie poszukiwania żadnych nie przynosiły skutków. Poszukiwania te zaś były tem trudniejsze, że w Bensowej w ową niedzielę bawiły chwilowo aż dwa ogromne pańskie dwory i wyjechały dnia tegoż, w tłumie zatem służby, wojska, pacholków, hajduków, koni i wozów, ani podobna było dopytać o malca w siermiedze, jakich kilkudziesięciu z za każdego węgla wytrzeszczało oczy na pańskie wspaniałości.

Rozpacz Jędrzejów wzrastała z każdym dniem, w miarę, jak nikła nadzieja; na ich błagania sam ksiądz proboszcz, dobry staruszek, dowiadywał się jak mógł na wszystkie strony o zaginione dziecko, ale zaraz powiedział do jego matki to, co wieś cała szeptała.

— Będę szukał, ale ty się módl, kobieto, bo kto wie czy to nie kara na ciebie za pychę, przez którą dla wczesnego rozumu twego chłopca przenosiłaś go nad starszego, i pańskie dla niego rolaś dostojęństwa, nie chcąc go mieć w kmiecym stanie, w jakim go wola Boska postanowiła: módl się, kobieto!

Modliła się Jędrzejowa, uznając winę swoją i kto

wie, czy nie jedynie ta ulga, jakiej doznawała w modlitwie, ocaliła ją od szaleństwa z rozpacz.

Tymczasem małemu Wojtkowi ani się śniły zmartwienie, jakich stał się przyczyną. Zaplątał się on istotnie w tłumie, jak domyślała się matka, ale zaplątał się dla tego, że sam wysunął rękę z jej dłoni i wcisnął się w tłum, aby koniecznie z blizka przypatrzeć się temu księdzu, którego matka za wzór mu podawała, choć nie podawała mu za wzór staruszka, miejscowego proboszcza. Ani matki ani dziecka nie zachwycała skromna dostojność codziennie widywanego proboszcza, ale olśnił ich przepych, otaczający tego księdza, do którego Bensowa należała, a który w przejeździe, uczestniczył w nabożeństwie w dniu uroczystym, i dla tego to Jędrzejowa, zawsze marząca o wielkiej przyszłości swego mądrego syna, teraz dopiero wskazała mu uosobienie swych marzeń w bracie pana wojewody łączyckiego. I dzieciak oczarowany poszedł za tym wzorem wielkości, gapiąc się i na niego i na otaczającą go wspaniałość. Trzeba zaś przyznać, że była to wspaniałość nie lada, na którą nie tylko biedny Wojtuś mógł się słusznie zapatrzeć, ponieważ ów ksiądz, brat wojewody łączyckiego, był to ni mniej ni więcej tylko Wojciech Jastrzębiec, biskup poznański w r. 1393, potem kanclerz koronny i biskup krakowski, a nareszcie arcybiskup gnieźnieński. Był to pan tak poważny, że jak mówi kronikarz „miał z królem wielką trudność o rzeczpospolitą i o niektóre występki królewskie”... A to znaczy, że biskup kanclerz króla Jagiełłę strofował i poskramiał.

Ten to Wojciech Jastrzębiec biskup jechał obyczajem wieku na przepysznym wierzchowcu, okrytym nieledwie do ziemi ogromnym kropierzem w rodzaju olbrzymiego czaparka, z mocnej i kosztownej tkaniny, sam przybrany bogato lecz poważnie w długie i dostatnie szaty podróżne, z szablą pysznie oprawną i takimże nożem myśliwskim u pasa, bo jak wiadomo, w czasach owych używanie broni powszechnem było między duchownymi, a nie jeden biskup był nie tylko dobrym pasterzem swęj owczarni, ale także i dzielnym jej wodzem na polu bitwy. Nie wszyscy jednakże pochwalali panowanie wojowniczego ducha wśród duchowieństwa, a Wojciech Jastrzębiec do tych wyjątków podobno należał, szabla i nóż dla zwyczaju tylko wisiły mu u pasa, choć dworzanie z uśmiechem szeptali, że w potrzebie znakomicie ich umiał używać.

Obok biskupa jechał Ścibor, wojewoda łączycki, na nie mniej pięknym a bystrym, bo mniej trochę spasionym rumaku; i on i koń w szatach trochę krótszych, pomimo przyzwyczajonej powagi, wydawali się przecież niby tylko jakąś młodzieńczą asystencją przy okazałej, w długie a wspaniałe szaty przybranej biskupięd postaci. Za nim w odległości kilku kroków jechało czterech najstarszych dworzan na czele kilkudziesięciu zbrojnych, a za tymi długim szeregiem ciągnęły dopiero liczne rumaki do zmiany, kosztowny powóz, zupełnie w kształcie małej chatki o jednych drzwiach i jednym okienku, wewnątrz kobiercami i futrem a zewnątrz skórą obity, i mnóstwo wozów, napełnionych podróżnemi zapasami i przyborami koniecznemi w podróży podówczas, gdy w Polsce, zarówno jak w innych krajach, nie istniały dla podróżnych umyślnie przygotowane miejsca spoczynku i wytchnienia. Na jednym z takich wozów, napełnionym wiktuałami, wśród faset i króbek usadzonych w sianie, siedział sobie, tak samo jak i one mały Wojtuś z Bensowej, ogryzając najspokojniej

udo dużego kuraka, a było to już nazajutrz po zaginieniu malca.

— A ty tu co robisz, mały? — krzyknął nań Błażek, powołując tym wozem, ujrawszy go tam po raz pierwszy jeszcze w Bensowej:

— A siedzę!... — odpowiedział z zimną krwią Wojtuś, który wgramolił się na wóz, aby koniecznie wypatrzyć z tej wysokości księdza biskupa, gdy będzie z klasztoru wychodzić i w dalszą podróż ruszać.

— A czy ty? — spytał znowu Błażek, bo zimna krew chłopca zwiodła go tak, że wziął go za syna którego kolegi woźnicy.

— Jędrzejów juźci!... — odmrunknął Wojtuś, zajęty właśnie panami, wychodzącymi w tej chwili z klasztoru. Panowie dosiedli koni i ruszyli, i wszystko ruszyło za nimi, i wóz z Wojtusiem także, bo Jędrzejów było kilku wśród podróżnej gawiedzi służebnej, a Błażkowi ani przez głowę nie przeszło, aby obcy dzieciak wlaźł do jego wozu. Pomyślał tylko Błażek, że ojciec, który swego pieszczocha zabrał z sobą w podróż, musi troszczyć się o niego w tej chwili i przez uprzejmość koleżeńską poddał chłopakowi jakieś ja-dło. I pojechano. Jechało się, aż się stanęło. Wojtuś zlaźł z wozu i myszkuje między ludem, potrącany niechcący przez wszystkich a niezauważony przez nikogo, dostał się aż tam, gdzie świeciła mu zdaleka wyniosła postać Jastrzębca biskupa i tu oto wytrzeszczone oczy chłopskiego malca dziwne a rozkoszne ujrzały widowisko.

(d. n.)

WSPOMNIENIA Z WAKACYJ,

Z DZIENNIKA MŁODEJ DZIEWCZYNY,
spisała Br. Kuczyńska.

(Dalszy ciąg.)

Opowiedziałyśmy ojczulkowi naszą przygodę, żartowałam z nas, mówiąc, że widocznie nie możemy ani na chwilę oddać się z pod jego opieki, bo z czasem co gorszego mogłoby nam się przytrafić. Profesor znał dobrze owych studentów, którzy też grzecznym powitali go ukłonem, przedstawił nam ich i tak zakończył się ten drobny wypadek. Ach! prawda, jeszcze nie koniec, bo gdy właśnie profesor i studenci oddalili się, a my po chwilowym odpoczynku do dalszej zabieraliśmy się wędrowki, spostrzegam w mojej sukience ogromną dziurę. Zdumiałam i aż podskoczyłam z przerażenia, co ja tu z nią zrobię nieszczęśliwa, jak tu naprawić takie straszliwe uszkodzenie?

Trudno się dziwić memu przerażeniu, gdy szczerze wyznam, że prawie żyć nie umiałam; w domu jakoś mnie tem nie męczyli, na pensyi nie było czasu, jeszcze żeby to o proste jakie zeszycie chodziło, tobym sobie może dała radę, ale to trzeba było pięknie, umiejętnie zacerować, bo sukienka była w kratkę, więc każdy ścieg nierówny odznaczałby się z pewnością. A przytem ani igły, ani nici nigdy nie mam przy sobie, a tu trzeba było zaraz na prędce zaradzić, bo dziura była strasznie widoczna, dziwię się nawet, że jęj studenci nie spostrzegli; a może i widzieli, tylko mówić nie chcieli, żeby mnie nie zawstydzić.

Podczas gdy ja się tak kłopotę, a w duchu robię sobie wyrzuty, że do owęj skórzanęj torebki nie włożyłam potrzebnych do szycia przyborów, Bronia wydobywa z kieszonki maleńką paczuszkę i zdziwionym moim oczom przedstawia się niespodzianie kilka zwitków z niemi, igła i naparstek. Z ra-

dości rzuciłam się jęj na szyję, nazywając „nieocenioną”, następnie porywam pierwszą lepszą nitkę, aby copędzej dziury się pozbyć. Ale moja nieoszacowana towarzyszka wyjęła mi to z ręki i wybraawszy niteczkę granatową, bo sukienka była tego koloru, wzięła się do roboty, zmusiwszy mnie wprzód do zajęcia miejsca na ustronnej ławeczce, obiecując prędko i dobrze zrobić.

Wywiązała się z obietnicy doskonale pocziwa moja Broneczka, mam nadzieję, że w jęj towarzystwie przyzwyczaję się nieco do praktycznych zajęć, a może nawet nauczę się szycić choć trochę. Do tego stopnia była przewidująca ta moja towarzyszka, że prócz nici białych i czarnych, wzięła nawet i takie, jakiego koloru miałyśmy suknie, aby w razie potrzeby ułatwić naprawę. Oj, przydało się też to, przydało! ani przypuszczałam nawet, że coś podobnego zdarzyć mi się mogło; ale muszę się pochwalić, że i mój scyzoryk przydał się w tym razie, bo już w nożyczki nie była zaopatrzona Bronia, a zębami urywać nitki to bardzo niedobrze; z tryumfującą więc miną wyjęłam go i podałam do obcinania.

Przez cały czas trwania tej niespodziewanej reperacji ojczulek opowiadał nam dzieje Sybilli. Zbudowana była przez owę właśnie ks. Izabellę, a raczej z jęj rozporządzenia, na wzór jednej ze świątyń greckich i przeznaczona na zbiór krajowych pamiątek; w tem zachodziła różnica od zbiorów w domku gotyckim, że tam były pamiątki z całego świata, tu zaś głównie nas dotyczące. Z trudem i staraniem gromadzono cenne zabytki przeszłości; czego tam podobno nie było! Bo to obrazy, rzeźby, kosztowne sprzęty po królach lub panach znakomitych, szable, buzdygany, tarcze, siodła kamieniami drogiemi wysadzane, czary, szkatuły, puhary, łuki, strzały i t. d. Prochy lub kości wielkich ludzi były w ozdobnych małych sarkofagach przechowane... Umiejętnie ułożone, przepysznie podobno wyglądały te zbiory, ogólnie obliczone, wielką przedstawiały wartość.

Księżna Izabella była to pani wielkiego rodu i wielkich cnót, dzieci wychowywała jaknajlepiej. Straszne nieszczęście spotkało ją z powodu tragicznej śmierci córki starszej, która ogarnięta płomieniem od ognia, palącego się na kominku, w męczarniach życie skończyła. Stało się to w Warszawie, w ich pałacu, dokąd na pewien czas przybyli. Troje dzieci się wychowało, dwóch synów i córka, która później za księcia Wirtemberskiego za mąż wyszła, i miała syna jednego, lecz mieszkała długi czas przy matce w Puławach, a później w Galicyi. Straty majątkowe tak ją dotknęły, że fundusze jęj na skromne zaledwie starczyły utrzymanie. Znajdowała pociechę jedyną w pracy umysłowej, zasłynęła jako autorka, powieść przez nią napisana pod tytułem: „Malwina, czyli domysłność serca”, była na owe czasy bardzo ceniona. Podobno ta powieść jest w bibliotece ojca, muszę ją koniecznie przeczytać, bo bardzo polubiłam z opowiadania tę księżnę i żal mi jęj, że taka była nieszczęśliwa. A żyła bardzo długo i do końca życia zachowała przytomność i bystrość umysłu, niezmiernie też była przywiązana do swych siostrzeńców Zamojskich. W skutek nieszczęśliwego upadku, kulała dosyć mocno, nie przeszkadzało jęj to jednak ruchliwego życia prowadzić i swych biednych odwiedzać. Umarła w Paryżu, powszechnie żałowana.

Czyż nie zajmujące to było opowiadanie podczas tego nudnego szycia? Byłybyśmy słuchały chętnie i dłużej, ale ojciec, spojrzawszy na zegarek, zalecił pośpiech, to też zabrawszy parasolki, schowawszy starannie drogocenne nici, rzucając raz jeszcze okiem na Sybillę, cudnie zarysowaną na błękitnem tle nieba, udałyśmy się szeroką dróżką, która w dół parku wiodła. Chciałyśmy przejść tamtędy, aby przyjrzyć się olbrzymim drzewom, poważnie szumiącym i wspaniałemu podmurowaniu podtrzymującemu całą górną część parku, a raczej jęj brzeg dość wysoki i urwisty. Ścieżka, którą puściliśmy się, zawiodła nas na sam dół prawie, w oddali było widać łąkę wiślaną, ale jeszcze spore kępy drzew oddzialały nas od niej. Jakież tam niektóre były olbrzymie pnienie, w sześć osób chybaby je można ramionami opleść, bo we troje zaledwie dosięgliśmy połowy. Szliśmy tak długo,

nie widząc nic, prócz drzew i przeblyskującej chwilami wody, ale i Sybilla pokazała nam się jeszcze ponad naszymi głowami, a następnie i pałacyk, który od tej strony, szczególnie z dołu, bardzo wspaniale się nam przedstawił. Potem zaleciał do nas miły zapach siana i rzeczywiście ukazała się świeżo skoszona łąka, a tuż altanka w kształcie chińskiego parasola. Dalej znów była moc kwiatów rozmaitych, coś, jakby domek ogrodnika, ale także pamiętający dawne czasy, bo lustro wprawione w przedsiönku, jakkolwiek stłuczone, dawało poznać, że w jakimś wykwintniejszym celu było tu umieszczone.

Tutaj z tej strony kończył się park i znajdowała się furtka, poza którą już nie przeszliśmy tym razem, ponieważ

dalej widać drogę, prowadzącą do Kazimierza, a więc jutro jechać nią będziemy, trzeba uważać.

Tymczasem przechodzimy mostek i ukazuje się przed nami jakiś maleńki pałacyk, w którym podobno teraz jedwabnictwo jest prowadzone. W tej części parku słoneczniej jest i jaśniej, bo drzew starych mniej, a dalej rozciąga się ogród owocowy, z sąsiedztwa którego skorzystaliśmy, zając wyborne truskawki. W górnej części parku znajduje się pałacyk, zwany Zulinkami, w którym przemieszkiwali goście, pragnący mieć większą swobodę podczas dłuższego pobytu w Puławach. Poeta francuzki Delille, zaproszony przez księstwo, poznawszy się z niemi za granicą, przebywał tu dość długo i tak się później wyraził podobno: „Myśla-



Noc Świętojańska (str. 198).

prowadziła wprost do kościoła, który już był przez nas widziany. Teraz jednak jeszcze spostrzegliśmy duży budynek z napisem „Szkoła” podobno i dawniej miał to samo przeznaczenie. Zwróciwszy się następnie cokolwiek na lewo i idąc trochę pod górę, podążyliśmy do drugiej części parku, znajdującej się z przeciwniej strony pałacu. Po drodze spotkaliśmy oryginalny tunel, zwany angielskimi schodkami dosyć długi i z bardzo pięknie brzmiącym echem. Ojczulek nam mówił, że dawniej tu było mnóstwo tuneli, grot, bo i cały park poprzerynany był parowami, które nadawały się do urządzenia podobnych wymysłów.

Przemknąwszy się wzdłuż pałacowego skrzydła i przez tak zwaną główną aleję, udaliśmy się w dalszą część parku, błędząc i zachwycając się różnorodnością i ogromem drzew, idąc dalej, dochodzimy do ślicznego łukowatego mostku, który łączy dwie odrębne części parku; z jednej i drugiej strony jest nasyp, jakby obwarowany murem, aby się nie psuł i jednocześnie bronił przed wtargnięciem niepotrzebnych gości,

łem, że spotkam w tym kraju Sarmatów, odzianych w skóry niedźwiedzie i z kijami w rękach, prowadzących życie koczujące, a znalazłem Ateny nad brzegami Wisły”. Oj, ci Francuzi! jakie też oni mieli o nas wyobrażenie. Zgniewało nas to bardzo, tembardziej, gdy ojczulek dodał, że i teraz niezbyt dokładne mają o nas pojęcie.

Zmęczone byliśmy bardzo kilkogodzinną wędrówką po tym parku, tak pełnym wspomnień, zmęczone słyśmy zwolna inną drogą, prowadzącą do miasta, a równie pięknymi wysadzoną drzewami, rozpamiętywując wszystko to, co nam ojczulek opowiadał, aby słyszane rzeczy wraz z tem, co oczy nasze oglądały, dobrze się w pamięci utrwały.

Było już po siódmej, gdy stanęliśmy przed drzwiami hotelu, ale naturalnie nikomu nie przyszło na myśl, aby już odpoczywać, lecz tylko zabrawszy z sobą ciepłe pledy, podążyliśmy znów ku Wiśle, chcąc użyć obiecaniej żeglugi łódką, co o tej porze właśnie było największą przyjemnością. Słońce nie grzało już zbyt mocno, chyląc się ku zachodowi,

ale blaskiem swym pięknie cały krajobraz oświecało. Siedząc na jakiejś belce, tuż nad rzeką leżącą, zachwycaliśmy się cudnym widokiem, a ojculek tymczasem umawiał się z przewoźnikiem. Za chwilę już byliśmy w czółnie, a zręczny przewoźnik powiózł nas dość szybko, oddalwszy się umyślnie od lewego brzegu, abyśmy się mogli dobrze przypatrzeć całym Puławom.

(d. c. n.)

Sprężyna zegarka kieszonkowego.

Czy przypatrzyłeś się zegarkowi kieszonkowemu twojego ojca? Czy słyszałeś, jak idzie?

ważyć ciężar dziesięciokopiejkowej srebrnej monety. Z pewnością ciekawy jesteś, z czego jest zrobiona, posłuchaj: Górnik wydobywa z ziemi rudę żelazną, to jest czerwonawą glinę, w której znajdują się drobne cząstki żelaza. Ruda ta topi się w dużych, osobno w tym celu zbudowanych piecach; tak powstaje kruszec, który żelazem zowiemy. Czy wiecie, jaka jest wartość tak otrzymanego surowego żelaza?

Funt jego dostać można za sześć do ośmiu groszy. Nieprawdą, że to bardzo niedrogo? Ale w takim stanie żelazo przynosi nam niewielką korzyść. Powtórnie je tedy topią, kują, mieszają z węglem i wreszcie z żelaza otrzymujemy to, co zowiemy stalą. Następnie stal tę w bardzo rozmaity jeszcze obrabiają sposób. Ogrzewają do czerwoności, zanurzają w wodzie, krają na drobnutkie paseczki i na koniec



Fabryka lalek (str. 198).

Bardzo ładny jest z wierzchu, a chociaż pięknie wygląda i złota oprawa, w której się mieści, i tarcza, po której posuwają się jego wskazówki, to przecież wewnątrz znajduje się coś jeszcze piękniejszego. Obaczysz tam mnóstwo małych, zębatych kółeczek, zachodzących jedno na drugie, które się obracają w rozmaitych kierunkach. Czy zauważyłeś, jak zegarek wydaje odgłos? zdawałoby się, że ktoś ustawicznie wymawia: tyk, tak. A czy wiesz, z kąd ten dźwięk pochodzi?

Przypatrzywszy się bliżej, przekonasz się, że dźwięk ten wydaje małe wahadełko. Ono się porusza tak jednostajnie, a przytem tak szybko, że możnaby sobie wyobrazić, iż ma ściśle oznaczoną pracę i niechce się opóźnić. Wahadełko, jakkolwiek bardzo misterne, nie jest przedmiotem głównym w zegarku; najważniejszą bowiem jego częścią jest włoskowata, to jest jak włos cieniutka sprężyna, utrzymująca je w ruchu, a razem z niem i cały zegarek. Jest ona tak maleńka, że potrzeba takich sprężyn 190, aby zrówno-

wyrabiają z niej te maleńkie sprężynki do zegarków kieszonkowych.

Zgadnij proszę, jaką teraz ma wartość ta sprężynka, lżejsza od najcieńszego ptasiego piórka? Cena jej jest rozmaita, bo zależy od stopnia doskonałości, ale w każdym razie jedna sprężyna kosztuje od pięciu do trzydziestu złp. Pomyśl, że z jednego funta żelaza można otrzymać 80,000 takich sprężynek. Oblicz teraz, jaką 80,000 sprężynek przedstawia wartość, licząc co najmniej sprężynkę po pięć złp. Cztery kroć sto tysięcy złp. czy nie prawda?

Ileż to razy praca ludzka powiększyła wartość funta żelaza, które z początku kosztuje tylko od 6-ciu do 8-iu groszy. Ty niepokątny kawałku żelaza, jakąż to cenę nabyłeś przez pracę ludzką od chwili, gdy ręce górnika wydobyły cię z łona ziemi. Każdy z tych robotników, przez których ręce przechodziłeś, pozostawił na tobie ślad swego rozumu, swjej pracy. Niezawodnie niejeden człowiek, który nie podniósłby funta surowego żelaza, leżącego na ziemi, po prze-

robieńiu go na sprężynki zegarkowe, chętnieby po niego wyciągnął rękę. Tak zmienia praca ludzka wartość najmniej pozornych rzeczy.

Henryk Wernic.

NOC ŚWIĘTOJAŃSKA.

Jakaż noc ciemna! pełny sierp księżyca
Za czarne chmury ukrył rąbek złoty.
I gwiazdy jasne pochowały lica,
Za bladym wodzem znikają z tęsknoty.

Na niebo ciężkie wystąpiły chmury;
Wiatr gałęziami starych drzew kołysze,
A głos puszczyka brzmi ostry, ponury,
Przerywa czasem czarną noc ciszę.

Lecz w głębi lasu, patrzcie! jakiś człowiek,
Bieży przed siebie, żądzą ślepą pchnięty.
Cóż o tej porze spędza mu sen z powiek?
Jakiż przed sobą cel widzi wytknięty?
Że w tym pośpiechu z prostą złądził drogi
I że, choć kolce rozdzierają ciało,
On, wśród zarośli rwąc się, idzie śmiało,
Nie czując bólu i nie znając trwogi?
Wszak tu każdemu straszno wśród tej głuszy,
A on sam jeden, błądząc w nocnej ciszy,
O niczem nie wie, nic wkoło nie słyszy,
Prócz rozbudzonych pragnień własnej duszy.

Bo oto dzisiaj noc świętego Jana
I o północy zakwitną paprocie,
Kryjąc pod sobą całe skarbowe krocie.
Tak zdawna głoszą prastare podania,

Każdy kwiat taki jasną gwiazdą płonie,
Raz w rok, wśród jednej świętojańskiej nocy;
A kto go ujrzy i pochwyci w dłonie,
Już wszystkie skarby świata ma w swej mocy.
Więc i on pragnie zaspokoić złotem
Pragnienie szczęścia u bogactwa zdroju,
I żyć wśród zbytku bez pracy i znoju,
I nie oblawszy chleba swego potem;
Więc chociaż przed nim rozwarły wód tonie,
Grożą swą głębią, on tam bez pamięci
Biegnie szalony, wyciągając dłonie,
Byle pochwycić światło, co go nęci!
I na mokradła wskoczył dumny, śmiały,
Schylił się ufny, w obie ręce drżące
Pochwycił kwiaty, gwiazdami płonące,
Co talizmanem szczęścia być mu miały,
I snując przyszłość oddawna marzoną,
Do piersi tulił zdobytą gałązkę.
Lecz nagle zadrżał, jęk rozerwał łono,
W dłoni miał tylko zwiedłych liści wiązkę...

Gabryela Jasińska.

FABRYKA LALEK.

Cóż znowu! O lalkach nam tu prawić będą? To przedmiot stosowny do Dodatku dla młodszej dziatwy. Tak może zawoła która z dorastających naszych czytelniczek, oddawna już, od kilku miesięcy, od roku nawet nie mająca nic wspólnego z lalkami. My też w rzeczy samej dziecinny ten przedmiot zawsze odkładamy do Dodatku, tym razem jednak sądzimy, że opowiadanie nasze zajmie i starsze czytelniczki. Podany przytem rysunek wyjęty jest z Pisma naukowego francuzkiego „La Nature”, wcale nie dla młodzieży, lecz dla czytelników zupełnie dorosłych wydawanego. Jeżeli więc ludzie uczeni mogą się zajmować opisem fabryki lalek, czemużbyśmy w „Wieczorach” nie mieli o tem pomówić?

W Montreuil pod Paryżem znajduje się jedna z najznacniejszych w Europie fabryk, gdzie wyłącznie wyrabiają lalki, robotą tą trudnią się przeważnie kobiety w liczbie kilkuset. Wszystko tam robi się na miejscu, począwszy od główek porcelanowych, które są wylepione z kaolinu zwyczajnym sposobem, a kształt właściwy otrzymują w formach. Gdy główki te obeschną, przenoszą je do drugiej sali, tam robotnice uzdolnione do tego wycinają w nich miejsca na oczy. Tak przygotowane idą do pieca, a po pierwszym wypaleniu malują im brwi, policzki i usta, następnie idą znów do pieca, ale już lżejszego i nie tak długo w nim pozostają.

Tymczasem inne robotnice w osobnej sali ze szkła roztopionego wydmuchują oczki niebieskie i ciemne, dla przyszłych blondynek i brunetek, potem te oczki wklejają w otwory główek. Reszta ciała lalek wyrabia się nadzwyczaj sztucznie z klejonki papierowej, korpusik, rączki, nóżki, wszystko osobno, potem dopiero te członeczki się spajają niemniej dowcipnie za pomocą małych blaszek i kauczukowych tasiec. Nakoniec każda lalka pokrywa się od stóp do główek białą farbą cynkową, w którą się macza duży pendzel.

Rysunek nasz przedstawia chwilę, gdy robotnica przyprowadza główki lalkom i spaja różne części ich korpusików. Gdy już cała postać jest tym sposobem wykończona, dodają jeszcze na główkach włosy rozmaitych odcieni, wkładają lalczkom białe, ozdobne koszulki i tuzinami, setkami, pakują je w pudła, następnie wysyłają w najrozmaitsze strony świata. Ogromna fabryka z Montreuil niezawodnie i Warszawę zaopatruje w ten towar, chociaż teraz już i u nas starają się fabryki zabawek zakładać.

GWIAZDA SUDANU.

PRZYGODY PODRÓŻNIKÓW W AFRYCE ŚRODKOWEJ.

(Dalszy ciąg).

Naradziliśmy się, co dalej czynić, niebezpieczeństwo straszne wisiało nad nami, należało obmyślić środki ratunku. Najpierw pomyślałem o wezwaniu na pomoc nielicznych przyjaciół, poczynając od szejka; lecz dom jego, prawie naprzeciwko naszego stojący, zamknięty był szczelnie, Achmet nie dawał znaku życia. Nie śmiałem iść do niego, aby nie być schwytanym po drodze. Posłałem jednego ze sług po Francuza, nie było go w domu od kilku godzin, nie wiadano kiedy powróci.

A tu na domiar kłopotów i wujaszek Bak gdzieś nam się zapodział i nie powracał. Musiał być nawet dość oddalony od domu, skoro nie słyszał wrzawy ulicznej, ani przemowy mojej do napastników. Nareszcie, zszedłszy na dziedziniec, spostrzegłem go siedzącego najspokojniej w podsienniu jednego z zabudowań gospodarskich. Karol mój stał obok niego, pomagał mu układać porządnie w zielniku świeżo zerwane rośliny. Poczciwy botanik, zwyczajem swoim, o Bożym świecie zapomniał, przypatrując się swoim szacownym zdobyczom.

— A uważaj, mój kochany — mówił do Karola — żebyś mi czasem nie zmiął tego arkusza, z tym oto przepyszonym okazem, widzisz? Ci głupcy krajowcy nazywają to „tunfafią”, niewiedomo dla czego, ale tyś powinien wiedzieć, że to się zowie *asclepias gigantea*, będziesz pamiętał? U nas w Europie rośnie ziele dość okazałe, dwóch stóp dochodzące, zwane ciemiężykiem, po łacinie *asclepias vincetoxicum*. Kwiatki ma drobne, białe, w nieduże baldaszki zebrane w kątach liści. Nasiona zamknięte w mieszkach podłużnych, jak fasola w strączkach, mają białe, puszyste kitki. Otóż widzisz ta roślina afrykańska, którąśmy dziś znaleźli, jest blisko bardzo z tym ciemiężykiem spokrewniona i także się *asclepias* nazywa. Ale coś mi się zdaje — dodał z westchnieniem

— że ciebie to nie bardzo obchodzi, i że pomimo całej poczciwości, nie starasz się tych nazw łacińskich zapamiętać; a jednak to rzecz ważna, niezmiernie ważna.

— Ja, pa - a - nie dy - dy - re - kto - kto - rze, pa - pa - mię - tam - tam, co - mo - mo - gę.

— Staraj się, mój chłopcze, staraj się zapamiętać wszystko; bo widzisz ze wszystkich nauk na świecie botanika jest niezaprzeczenie najpierwszą i najważniejszą. Uważaj, już ci mówiłem, ażebyś czasem nie wycisnął soku tej rośliny i nie popłamił ubrania; nie potrafiłbyś plam wywabić, sok ten zresztą jest bardzo jadowity. Gdybyśmy znaleźli nasiona, pokazałbym ci, jakie mają obfite, puchowe kitki; używają też ich w miejscu waty, nawet przędą i tkaniny wyrabiają z tego puszkę.

Przerwałem zajmującą tę rozmowę, i uwiadomiłem zapalonego botanika o grożącym nam niebezpieczeństwie. Wysłuchał téj wiadomości z taką obojętnością, jakby nie zrozumiał, o co idzie. Nie spuszczał oczu ze swojej pysznej „tun-fafii”, byle jęj tylko nic złego się nie stało, cóż go zresztą mogło obchodzić, że tłumy uliczne zbierały się pod naszym domem? Nie odpowiedział mi ani słowa, tylko spojrzał wymownie, jakby chciał powiedzieć:

— A cóż ja na to poradzę, mój drogi panie?

Na usilne moje prośby, wujaszek Bak rozstał się wreszcie z ukochanym zielnikiem, a natomiast opatrzył dubeltówkę. Ja zaś zająłem się z pomocą p. Katarzyny zabarykadowaniem starannem drzwi i okien, zostawiłem tylko małe otwory na strzelnice, przygotowałem wszelką broń i amunicję, zebrałem naszą służbę, każdego uzbroiłem należycie i czekaliśmy dalszych wypadków.

Mówka moja wywarła pożądane wrażenie. Faam ze swoim zbrojnym oddziałem usunął się dzieś dalej, tłum także powoli się rozpląwał, nie zupełnie jednakże, w miarę jak jedni odchodzili, inni zajmowali ich miejsce. Przeraził wrzaski ucichły, lecz szmer głosów przyciszonych ciągle nas dochodził. Ja też nie dałem się złudzić tym pozornym spokojem, byłem w pogotowiu.

I dobrze się stało, bo jak to przewidywałem, napad powtórzył się tego samego dnia jeszcze, lecz tym razem z większą ogłędnością. Strzelcy nie wystąpili wcale do ataku, na przedzie kolumny napastników szli ludzie, niosący drągi, kliny, olbrzymie młoty, kije, żelaznem ostrzem opatrzone. Oczywiście mieli zamiar rozbić i zdruzgotać wątle ściany naszego domu.

Znali o tyle zwyczaje europejskie, że nie sądzili, abyśmy pierwsi rozpoczęli strzelanie skoro oni przychodzili bez palnej broni, liczyli więc na wspaniałomyślność naszą. Tym razem jednak się pomylili, postanowiłem bowiem przywitać ich niezwłocznie kulami, obowiązek mi nakazywał ratować wszelkimi sposobami zagrożone kobiety, rycerska delikatność nie była tu na czasie z dziką tłuszcą krwiożerczych bydląt.

Atak się rozpoczął. Silne ręce napastników podniosły młoty i uderzały nimi w kliny i drągi, do ścian przytknięte, inni dopomagali im, bijąc zawzięcie żelaznemi kijami, łoskot wznosił się z każdą chwilą; na znak mój, zastęp nasz zbrojny uszykował się szybko, weszliśmy wszyscy na taras dachu, już miałem zakomenderować: „Ognia!” gdy naraz napastnicy powstrzymali się i opuścili ręce, nie przed nami wszakże, na ulicy stanął nagle potężniejszy od strzelb naszych obrońca... sam Achmet el Bakai we własnej swojej osobie.

VII.

Z a u j a .

Szejk spokojnym, poważnym głosem odezwał się do napastników w te słowa:

— Kto ma serce czyste, a w niem bojaźń Bożą, ten bliźniemu nie wyrządza krzywdy. Dlaczegoż to zniszczyć chcecie dom mój własny, jakież duch złośliwy was natchnął.

Zrazu nikt nie odpowiadał na to zapytanie, milczenie zaległo dokoła na chwilę. Wreszcie głos tubalny ozwał się z pośród tłumu:

— O, synu el Moktara! Dlaczegoż dom twój własny stał się schronieniem niewiernych?

Słowa te wymówił emir Faam, główny doradca i naczelnik fanatyków muzułmańskich. Wywiązała się zabawna walka na słowa i cytaty Koranu pomiędzy szejkiem i emirem. Achmet el Bakai, jak wiemy był dobroniuszny i po-błażliwy, a chociaż gorliwy mahometanin, nie potępiał bezwzględnie ludzi innych wyznań, nie miał żadnych przesądów i uprzedzeń. Chociaż i jemu brakło oświaty, wrodzonym rozsądkiem pojmował jednakże, iż ludzie nie mogą za to odpowiadać, że się urodzili w innej wierze, że pochodzą z innej narodowości. Czuł instynktem uczciwego człowieka, iż pomimo takich różnic, wszyscy jesteśmy braćmi i możemy żyć zgodnie z sobą.

— Wielki Ałlach — odpowiedział zatem stanowczo — nie broni nam zawierać stosunków przyjaznych z cudzoziemcami, ludźmi innej wiary, jeżeli oni nie przeszkadzają nam w dopełnianiu obowiązków naszych religijnych. Chrześcijaństwo, zamieszkujący obecnie pod dachem moim, nie przecież podobnego nie czynią.

— O, synu el Moktara! — odrzekł tamten uroczyście — włosy twoje już pobieły, a jeszcze nie znasz dokładnie, ani księgi świętej Koranu, ani „Sunny”, niemniej świętego dzieła Proroka. Ałlach zabrania nam wyraźnie zawierać przyjaźń z niewiernymi.

— To ty właśnie, Faamie, nie znasz dobrze, jak się okazuje, ksiąg świętych i przepisów Proroka; on bowiem powiedział: „Gdy ujrzyś przechodzącego do ciebie człowieka sprawiedliwego, przyjmij go z uczciwością.” Ci chrześcijanie są sprawiedliwi i bojaźń Bożą mają w sercach.

— Mylisz się, synu el Moktara, umysł twój w grubych pograżony jest ciemnościach. Ci ludzie przybyli tu z końca świata, nie znasz ich uczynków, oni zaś woli Ałlacha nie szanują i nie pełnią. Związani ściśle z szatanem, duchem złego, jemu też zawdzięczają tę wyższość, która ich stawia pozornie ponad wiernymi dziećmi Proroka, strzegącemi pilnie dróg Ałlacha.

— Faamie, bardzo nieumiejętnie wykladasz pismo Proroka i mądre prawa jego. On nakazuje gościnność, on przepisuje wyraźnie, abyśmy w dom nasz przyjmowali każdego wędrowca, jeżeli jest sprawiedliwy, zgodę z nami chce zachować nie wypędza nas z mieszkań naszych.

— O, synu el Moktara! ci chrześcijanie, wyrzutki rodu ludzkiego, nie mają pojęcia o uczciwości. Oni właśnie zamyślają wygnać nas z własnych domów naszych.

— Mylisz się najzupełniej, Faamie; ci, o których mówisz, są uczciwi. Powinniśmy się dobrze obchodzić z nimi, gdyż sprawiedliwość miłą jest Ałlachowi i prorokowi. Dlatego też, ludzie niebaczni — a tu shejk głos podniósł, zwracając się do tłumów — rozejdźcie się natychmiast, inaczej...

Każdy muzułmanin zrozumiał po téj przemowie i dodanym do niej znaczącym geście, że mu groziło przekleństwo religijne, wielce poważne ze strony tak wysokiego dostojnika, jak shejk Achmet el Bakai; przesądził Fulanie nie mieli ochoty się narażać na takie niebezpieczeństwo i cała gromada napastników naszych rozeszła się śpiesznie.

Trzeba dodać, że Achmet el Bakai nie tylko moralną swoją władzą wywarł takie wrażenie; był on dowódcą siły zbrojnej miejskiej, i teraz, sam postępując pieszo, prowadził za sobą na wszelki wypadek stu jeźdźców Tuaregów z oddziału tak zwanych „Tademeketów.” Na czele tych wojowników jechał człowiek okazałej postawy, zwany Faredży eg Auab. Shejk wskazał na niego zwracającego się do nas, stojących na tarasie:

— Oto wierny mój Auab będzie odtąd czuwał nad wami, ci dzielni wojownicy staną przy was na straży.

To rzekłszy, odszedł poważnym krokiem do swego mieszkanka. Wypadki te działy się 30 Grudnia 1879 r. Noc przeszła spokojnie. W całej dzielnicy naszej panowała cisza, dzięki jeźdźcom Auaba, którzy się rozłożyli obok naszego domu.

Nazajutrz 31 Grudnia shejk odwiedził nas osobiście z rana. W imieniu całej naszej gromadki złożyłem mu dzie-

ki serdeczne za opiekę i pomoc tak skuteczną. Nie ulega bowiem wątpliwości, że gdyby on nie był się w mieszał w samą porę do tej sprawy, banda zażartych barbarzyńców byłaby nas wkrótce pokonała i wymordowała. On jeden nas ocalił.

(d. c. n.)

ROZMAITOŚCI.

Gdybyście zapytali, skąd pochodzi nazwa Ameryki, każdy z czytelników odpowiedziałby niezawodnie bez wahania, że Florentczyk Amerigo Vespuccio, który dopłynął na okręcie portugalskim do nowego lądu, znacznie później od Kolumba, niesłusznie był uważany za odkrywcę Ameryki. Portugalczycy usiłowali utrzymać ludzi w tem fałszywym mniemaniu, twierdzili więc, iż statek ich najpierwszy dotarł do wybrzeży nowo odkrytej ziemi i nadali jej nazwę Ameryki od imienia owego Ameriga. I myśmy także, tak jak świat cały, wierzyli w to podanie, które jednak dziś okazało się zmyśleniem i bajką. Bardzo niedawno wyjaśnił to i dowodami potwierdził pewien uczony geograf francuzki.

Nieraz się zdarzało, że fałsz jakiś powtarzany był raz po raz, przedrukowywany z jednej książki do drugiej, a nikt nie zwrócił uwagi na rażące nawet nieprawdopodobieństwa. Dopiero po długim przeciągu czasu ktoś wyświecił rzecz całą i wówczas zaczynano się dziwić, że coś podobnego mogło znaleźć wiary powszechną i wcześniej nie zbudziło wątpliwości. Tak było i z tem podaniem o nazwie Ameryki. Nie pomyślano nawet, że w żadnym kalendarzu niema przecież imienia „Amerigo”, z kądeby je miał nosić podróżnik Vespuccio? Ktoś wprowadził tę trudność poruszył, lecz zaraz i wytłómaczenie znalazł: Vespuccio w rzeczywistości nazywał się Albert, a w języku włoskim lub portugalskim mogło to imię brzmieć Albericus, Alberico, ząd już łatwo przekręcić je na Amerigo.

Tymczasem nie było w tem wszystkim nigdy ani odrobiny prawdy. Wielbiciele Vespucia znacznie później sklecieli tę bajeczkę na część jego, naciągając przyjętą już powszechnie nazwę Ameryki do owego mniemanego imienia. Jeden, drugi w to uwierzył, powtórzył, nikt nie zaprzeczył w porę i czas uświęcił błąd najniedorzeczniejszy. Niesłusznie więc, jak się okazuje, przywiązano do pamięci Vespucia, Alberta, a nie Ameryka, zarzut przywłaszczenia cudzej sławy. Jemu się pewnie ani śniło, aby nazwa nowego lądu miała cośkolwiek wspólnego z jego imieniem.

Ale skądże naprawdę pochodzi miano Ameryki? zapytacie zapewne. Jest to rzecz najprostsza w świecie. W języku krajowców czerwonoskórych dotychczas nazywają *Amerikos*, *Amerike*, pewien łańcuch gór, w których Krzysztof Kolumb podczas ostatniej swej bytności w Nowym świecie odkrył bogate bardzo kopalnie złota. Jest także plemię indyjskie, noszące tę samą nazwę: *los Amerikos*. Pocóż więc daleko szukać? Wyraz zasłyszany od krajowców, zwłaszcza jeżeli oznaczał miejscowość w złoto bogatą, z czasem mógł wejść w użycie, jako nazwa całego lądu. Przypuszczenie to jest tak prawdopodobne i jasne, że śmiało w nie od razu uwierzyć możemy, a przynajmniej przestańmy powtarzać oklepaną bajeczkę o dziwaczne imieniu Vespucia.

ZADANIE KONIKOWE.

(Od Konwalijki dla Pieprzajada i Pegaza skrzydlatego).

a	rach	a	zie	scho	dwo	na	ki
je	lo	le	le	na	na	lach	ta
w gó	cha	sta	dzą	wy	go	świat	woj
ne	się	pę	Na	sy	w gó	je	w ha
cie	na	ow	ry	to	ne	cie	że
ju	szu	świę	dzo	ce	la	nas	i
jar	po	ma	sy	le	lu	świe	cha
ma	ha	dwo	już	jem	u	za	w po

ŁAMIGŁÓWKA GŁOSKOWA.

(Orso dla Koteczki białej).

Z głosek, składających te wyrazy, ułożyć inne wyrazy, odmiennego znaczenia, aby początkowe litery nowego szeregu wyrazów, od góry do dołu i końcowe w tym samym kierunku odczytane, utworzyły nazwy dwóch państw starożytnych, z których jedno dotychczas istnieje. I tak: zmienić *Mus* rodzaj ryby, *Lampa* na drzewo ciepłych krajów, *Rak* na miarę francuzką *Nora* na część dnia, *Kat* na przysłówek *Boa* na miasto w Finlandyi.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 23-go.

Niteczki Aryadny:

Pańska ręka mnie dotknęła,
Wszystką mi radość odjęła,
Ledwie w sobie czuję duszę,
I tę podobno dać muszę.
Lubo wstając gore jaśnie,
Lubo padnąc słońce gaśnie,
Mnie jednako serce boli
A nigdy się nie utuli.
(Ustęp z „Trenów Kochanowskiego”).

Łamigłówni zgłoskowej:

ZimA — KarO — ParA — NoE — Zakopane.

Prenumeratorom kwartalnym przypominamy odnowienie prenumeraty, dla uniknienia zwłoki w przesyłce Pisma.

TREŚĆ: Zbiór legend i podań dawnych, p. M—A. — Wspomnienia z wakacyj, spisała Br. Kuczyńska (c. d.) — Spreżyna od zegarka, p. Henryka Wernica. — Noc świętojańska, wiersz p. Gabryele Jasieńską (z drzew.) — Fabryka lalek (z drzew.) — Gwiazda Sudanu, przygody podróżników w Afryce środkowej (c. d.) — Rozmaitości. — Łamigłówni i rozwiązania. **Dodatek.** Wesołe i smutne przygody Micia (z drzew.) — Pytanie, wiersz p. M. Ziel. — Prawdziwy przyjaciel p. M. Weryho. — Łalka, opowiedziała Anna Z. — Łamigłówni i rozwiązanie. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Branka litewska, opowiadanie z dawnych czasów p. Michalinę Zielińską.

Wesołe i smutne przygody Micia.

(Dokończenie).

II.

Dnia pewnego przyjechała ciocia do rodziców Micia i przywiozła dwóch swoich synków, którzy z nim byli prawie w jednakowym wieku. Dopieroż to była radość! cały dom się ożywił i rozweselił, siostrzyczka Micia, Lunia, nie odstępowała od chłopczyków i koniecznie chciała się z nimi razem bawić.



— Dałabyś pokój — mówił Micio — dziewczyny nie umieją się bawić w żadną grę porządną, przeszkadzają nam tylko będziesz.

Lunia nie odchodziła, buzia zaczynała jej się do płaczu układać, a cioteczni braciszkwowie, Bronek i Jurek, grzeczni bardzo chłopcy, powiedzieli Miciowi, że żadna, najładniejsza zabawa nie sprawi im przyjemności, jeżeli Lunia do niej należeć nie będzie. Dziewczynka uradowana uściśkała ich za to serdecznie, Micio wzruszył ramionami, ale zgodził się wreszcie na to, czego wszyscy inni chcieli.

— Tobie się zdaje, Miciu — wołała rozweselona Lunia — że dziewczyny nic nie potrafią. Zobaczysz, że ja potrafię wszystko, wszystko, i w konie, i w wyścigi, i w cobyś nie wymyślił.

— Wielka mi rzecz, w konie — rzekł pogardliwie Micio — a w wojsko, potrafisz, co?

— Czemu nie potrafisz?

— No dobrze — rzekł Micio udobruchany — przynieście tu mufkę mamy, to będzie przepyszny kołpak dla generała. My tymczasem porobimy dla reszty wojska

kapelusze z papieru, zbierzemy broń i zajmiemy się przygotowaniami do wojny.

Trzeba wiedzieć, że dnia tego deszczyk padać zaczął, bardzo potrzebny dla zboża i dla roślin ogrodowych, ale dzieci niebardzo mu były rade, bo nie mogły pójść do ogrodu, musiały się bawić w pokoju. Tak to nieraz z drobnych przyczyn ważne wynikają skutki. Gdyby dnia tego była piękna pogoda, wojna pewnie zakończyłaby się pomyślnie, bez żadnej klęski, bo odbywałaby się w ogrodzie na murawie.

Tymczasem inaczej się stało. Lunia przyniosła



mufkę mamy, chłopczyki urządzili sobie z grubego papieru przepyszne kapelusze, zebrali wszystko, co mogło służyć na broń, znalazło się dwa bębny, a to rzecz najpotrzebniejsza na wojnie, gdzie powinno być przecież dużo hałasu. Micia wszyscy jednogłośnie wybrali generałem głównodowodzącym, dwaj dobosze, Bronek i Lunia, uderzyli w bębny i wojsko wyruszyło.

Z początku wszystko szło bardzo ładnie, Lunia przekonała chłopczyków, że nie ma potrzeby koniecznie zaraz się bić, bo wojsko może być i bez wojny, nawet daleko lepiej wygląda podczas pokoju, aniżeli w bitwie. Nawet Micio zgodził się na to i wojsko ślicznie defilowało po wszystkich pokojach, wódz szedł na czele, za nim dobosze, i chorąży, bo Jurek wziął miotłę i niósł ją podniesioną do góry, jako znak wojenny.

Niedługo jednak szatawiła Micio mógł poprzestać na takiej spokojnej zabawie, nagle zakomenderował:

— Prędzej, prędzej! przyspieszonym marszem! do ataku! — sam z mężtwem wielkiem poskoczył naprzód, rzucając się niby do ataku; pędził, jak szalony, światła Bożego nie widział przed sobą i wymierzył atak do du-

z tego zwierciadła ściennego. Z takim potężnym zamachem uderzył w nie głową, że zwierciadło z brzękiem i łoskotem pękło, a kawałki rozsypały się po podłodze.

Micio chwycił się za głowę, bo go okropnie zabolęła i krzyknął mimowoli; nietylko nieprzyjacielska twierdza ucierpiała podczas tego ataku, wódz miał czoło zranione, krew strumieniem go oblała. Na krzyk ranego generała i strwożonego wojska nadbiegła mama z ciocią, na szczęście rana Micia nie była niebezpieczna. Sprawa zakończyła się i teraz tak samo, jak zwykle, szkodnik wylizał się prędko, ale szkoda nie dała się tak łatwo naprawić.

Nasz szalawiła szczerze tym razem obiecywał mamie, że się będzie starał pozbyć brzydkiego zwyczaju biegania po szalonemu. Jeżeli dotrzyma słowa, nie będziemy mieli już więcej nic do opowiadania o nim czytelnikom, gdyby mu się trafiły nowe jakie przygody, to zapewne do wiadomości naszej dojdą i zaraz je opowiemy.

Ciocia Jania.

PYTANIE.

Czemu słowik śpiewa w nocy,
A skowronek w świt?
I choć równiej śpiew ich mocy,
Czemuż jeden w krzak się tuli,
Tuż przy ziemi, swój matuli,
Drugi w niebios szczyt?

Może temu, że naturze
Każdy czyniąc zadość,
Płaczka nisko, wesół w górze,
Uczą ludzi, że z tej ziemi
Idą smutki z głosy swemi,
A z niebiosów radość.

M. Ziel.

PRAWDZIWY PRZYJACIEL.

Był sobie raz bardzo ubogi i ślepy staruszek. Miał starą chałupkę pod miastem.

Staruszek nie miał ani tatki, ani mamy, ani brata, ani siostry; miał tylko jednego wiernego przyjaciela — tym przyjacielem był duży pies.

Pies nazywał się Bryś. Bryś był bardzo dobry: wiedział, że staruszek nie widzi, nie opuszczał go nigdy i ciągle mu usługiwał.

Co rana staruszek przywiązywał do szyi Brysia sznureczek, a Bryś był rozumny piesek. Wiedział, że ślepy staruszek sam chodzić nie może, i chce, żeby Bryś go prowadził.

Więc Bryś szedł powoli z przodu, a staruszek z kiem trzymał za sznureczek i szedł za nim. Takim sposobem oprowadzał pies swego pana po podwórzach różnych domów i przyprowadziwszy staruszkę, zatrzymywał się.

Wtedy dziadek zaczynał śpiewać, a mieszkańcy dawali mu to grosik, to chleba kawałek, to łyżkę jakiejś strawy.

Ślepy staruszek nigdy nie zjadał sam tego, co mu dawano, zawsze dzielił się z Brysiem. Później staruszek brał znowu za sznurek psa i szedł dalej.

Czasem staruszek bardzo długo śpiewał i nic mu nie dano, wtedy Bryś gniewał się i szczekał głośno. Razu jednego Bryś leży przy łóżku staruszka; dzień biały się robi, już późno, a jakoś staruszek nie woła na niego.

Wstaje wtedy, zbliża się do pana, ale pan nawet go nie pogłaskał, jak to zwykle robił. Leży i stęka.

Pies zrozumiał, że jego pan chory musi być. Spuścił ogon i smutny zaczął chodzić z kąta w kąt.

Oi, co dawali jałmużnę, dziwili się, że staruszkę tak długo nie widać. Naraz słyszą, że na podwórzu pies szczeka gwałtownie i niezwykle. Jakaś kobieta wyjrzała przez okno i poznała Brysia.

Bryś był sam, bez staruszka. Dobra kobieta zawołała go do siebie i chciała go nakarmić. Lecz Bryś nie brał chleba, tylko szczekał i targał kobietę za suknię.

Z początku nie rozumiała, o co psu chodzi, zaczęła go wołać i głaskać. Wtedy Bryś wypuścił suknię i pobiegł naprzód, ale ciągle oglądał się, czy kobieta za nim nie idzie. Kobieta domyśliła się, że pies chce ją gwałtem zaprowadzić i poszła za nim. Tak szła aż do mieszkania starego ślepego staruszka.

Weszła do izdebki i zobaczyła, że staruszek jest bardzo chory. Wtedy zrozumiała, o co chodziło Brysiowi.

— Pocziwe psisko — mówiła kobieta — chciało, żeby ktoś poratował staruszkę.

A Bryś machał ogonem z radości, że go zrozumiano. Kobieta zaraz zawiozła staruszkę do szpitala. Tam go prędko wyleczyli.

A Bryś tymczasem chodził po domach znajomych, zjadał czemprędzej, co mu dano i szedł czekać swego pana pod bramą szpitalną. Trwało to, dopóki staruszek nie wyzdrowiał i nie zabrał Brysia znowu do siebie.

M. Weryho.

LALKA

OPOWIEDZIAŁA ANNA Z.

(Dalszy ciąg).

I rozmawiały dalej, nie zważając na mnie. A te okrutne słowa serce mi żalem ścisnęły. Niewdzięczna! przecież ja ją tak kocham, mówię do niej mamó i dzień dobry, a ona się mną znudziła. Widać, że nie jestem jej prawdziwą córką, bo taka nigdy się swojej mamie nie znudzi. I bardzo mi było smutno; nie słuchałam dalszej rozmowy przyjaciółek, świat cały wydał mi się innym, wszystko gorsze i brzydsze, zdawało mi się, że szczęście moje na zawsze przepadło. Nie wiem, czy w końcu Jania odgadła moje zmartwienie, lecz zbliżyła się do mnie z lalką swoją, i posadziwszy ją koło mnie:

— Zapoznamy nasze córeczki — rzekła uprzejmie — później we cztery będziemy w wizyty się bawić. A więc przedstawiam pannie Zosi moją córeczkę, Milę.

— Dzień dobry — zawołałam, dumna, że mogę się popisać moją umiejętnością, i uściśkałam serdecznie Milę, która nieśmiało na mnie patrzyła. Była ona mniéj ładna odemnie, ale się tem nie pyszniłam, bo rozumiałam, że mi w niéj przybywa dobra towarzyszka.

Wkrótce zaczęła się zabawa. Moja opiekunka włożyła okrywkę i wzięwszy mnie za rękę, przeszła na drugi koniec pokoju, gdzie Jania z Milą grały rolę uprzejmych gospodyń.

— O! jak to dobrze, żeście panie przyszły — zawołały — proszę siadać. Jakże zdrowie pań szanownych?

— Niestety, nie dobrze — odpowiedziała smutno Halinka — moja córeczka Zosia jest jakaś słaba. Jak pani widzi, bardzo jest mizerna i wcale nie ma apetytu.

— O! jakżeż mi żal pani — ubolewała Jania — możeby trzeba posłać po doktora.

— O tak, zaraz powrócimy do domu, położę ją do łóżka i poradzę się o nią.

— Ach! a ja panią wkrótce odwiedzę — i ucałowawszy mnie, udawała, że otwiera drzwi, których wcale nie było.

Drogę miałyśmy niedługą; przybywszy, Halinka rozebrała mnie troskliwie, położyła do łóżka, okryła, a usiadłszy przy mnie, niespokojnie na mnie spoglądała. Nadszedł wkrótce doktor, miał na małym nosku duże okulary, wysoki kapelusz i podpierał się laską, gdyby nie ten strój poważny byłabym go wzięła za Stasia, tak był do niego podobny. Położył mi rękę na czole i zaczął znacząco głową kiwać.

— O! ta panienka ma silną gorączkę — rzekł — trzeba będzie koniecznie zażywać lekarstwo. I i zapisał długą receptę, a Jania, która właśnie przyszła nas odwiedzić, była tak uprzejma, że sama poszła do apteki, zkąd przyniosła pełną flaszkę brunatnego, gorzkiego płynu, którego pełną łyżeczkę wypić mi kazano.

Przez kilka dni lekarstwo to zażywałam i musiałam w łóżku leżeć, gdzie mi się bardzo przykrzyło, mimo codziennych odwiedzin doktora.

Zrozumieć nie mogłam, zkąd mi się tak nagle ta choroba wzięła. Przypuszczam, że spowodowana była zmartwieniem, które mi obojętność Halinki sprawiła. A może się Halince tylko zdawało, że ja byłam chora?

ROZDZIAŁ VI.

Nieprzyjemna przygoda.

— Halinko — prosił raz Staś swojej małej kuzynki — moja droga Halinko! pożycz mi lalki.

— A to na co? — zawołała zdumiona — jeszcze mi ją stłuczesz.

— O, nie bój się, nic jéj złego nie zrobię, tylko się z nią trochę pobawię.

— Co? ty, chłopiec, będziesz się bawił lalką? nie wstyd tobie, mężczyzno? a zresztą masz swojego pajaca, pana Fortunata, czyż ci nie dosyć?

— Dobra sobie jesteś — zawołał Staś z oburzeniem — Fortunat taki brzydki i niezgrabny. Twoja Zosia, to

wcale co innego. O, pozwól mi ją wziąć na godzinę; ty i tak rzadko się nią bawisz, więc cóż ci to szkodzi.

— A weź ją już, tylko mnie nie nudź; mam dziś tyle lekcyj, tyle kłopotów na głowie. A ty wraz z tą nieznośną lalką spokoju mi nie dajecie. Weź ją i idźcie już raz, bo mi przeszkadzacie.

Staś, uradowany z dobrego skutku swéj próby, przybiegł do mnie, a pochwyciwszy na ręce, patrzył na mnie z upodobaniem i podskakiwał z radości.

Mnie smutek i gniew ogarnął. Nietylko, że mnie już teraz Halinka zaniedbuje, że czasem cały dzień spędzam nieubrana, albo też wcale spać się nie kładę, że raz nawet, o zgrozo! gdy nieuważnie zsunęłam się z sofki na ziemię, nie podniosła mnie wcale, i całą noc przebyłam tam w bezsenności i trwodze, a rano wymiółł mnie ztamtąd służący, widocznie szydząc z mojej niedoli... Jeszcze teraz nazwała mnie wobec Stasia nieznośną...

Szczęściem Staś temu wcale nie wierzy. Pobiegł ze mną do ogrodu, usiadł na ławce i zaczął wesołą rozmowę. A był taki miły i grzeczny, że mój smutek wkrótce się rozproszył i śmiałam się z całego serca z jego żartów i zabawy z dużym psem podwórzowym Neronem.

Po chwili rzekł Staś do mnie:

— Lubisz kwiatki, laleczko, to ci ich narwę i wianuszek upletę, a tymczasem siedź spokojnie na ławce, tylko proszę się nie ruszać, żebyś nie spadła, bo guz na głowie panienki nie jest wcale ozdobą — i zaczął zbierać różowe stokrotki, pachnącą rezedę, a ja śledziłam go wzrokiem i potwierdzałam dawne moje o nim zdanie, że to miły i rycerski chłopiec.

Wtem, wesoło podskakując, wbiegł do ogrodu przyjaciel Stasia, Adaś, którego już raz widziałam z daleka, i który mi się wydał bardzo niesfornym i hałaśliwym chłopcem. Na widok kolegi, Staś rzucił kwiaty na ziemię, pobiegł ku gościowi swemu i dopieroż się zaczęła ożywiona rozmowa, głośnie śmiechy i rozmowy.

O mnie Staś widocznie zapomniał. Było mi to niezmiernie przykro i siedząc na ławeczce samotnie rozmyślałam, jak to słusznie mężczyzn o niestałość obwiniają. Ale co prawda nie bardzo pragnęłam bliższej znajomości z Adasiem, którego sposób zachowania się nie podobał mi się. Nagle, przebiegając koło mojej ławki, Adaś mnie spostrzegł:

— A to co za facetka! — zawołał grubiańsko, wskazując na mnie pogardliwie niebardzo czystym palcem.

Dreszcz przerażenia przeszedł mnie i błagalne spojrzenie zwróciłam na Stasia, który szlachetnie stanął w méj obronie.

— Jak możesz tak brzydko nazywać Zosię, lalkę mojej siostry.

— Ot, lalka czy nie lalka, zawsze to facetka; dam jéj szcztuka na dobranoc i niech idzie spać pod ławkę — i już batem, który miał w ręku, zamierzał się na mnie, ale w téj chwili Staś przyskoczył do niego, z bohaterską siłą wyrwał mu z ręki to krzywdzące narzędzie, a zastąpiwszy mnie sobą, rzekł surowo do Adasia:

— Nie wolno ci robić przykrości lalce, bo to tak, jakbyś Halince saméj przykrość zrobił, a ja na to nie pozwolę, by kobietę w mojej obecności znieważano.

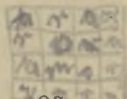
Ale upartego Adasia nie tak łatwo było przekonać; szczęściem dla mnie, na hałas ten wybiegła z domu Halinka. Adaś zawstydzony odsunął się na bok, ażeby gością więcej nie upokarzać, nie wdawano się w żadne tłumaczenia. Halinka czuliej niż zwykle wzięła mnie w swe objęcia; może miała wyrzuty sumienia, że mnie przez niedbalstwo swoje na tak wielkie naraziła niebezpieczeństwo, które wprawdzie minęło, ale ja długo uspokoić się nie mogłam i w nocy nawet śnił mi się ten nieprzyjemny chłopak, a także i szlachetny mój wybawiciel.

(d. c. n.)

Lamigłówka w kwadraciku.

(Dla Koteczki białej od Wilka ze stepów chersońskich).

W kwadraciku z 16 podziałek zamieścić 6 A — K — 2 M — 2 O — 4 R — aby odczytać w obu kierunkach: 1. Trunek. 2. Miasto starożytne. 3. Nazwa bożka. 4. Skutek przestępstwa.



ROZWIĄZANIE DO N-ru 23-go.

Lamigłówki głoskowej:

Zginęły już śniegi, spłynęły już lody
I rzeka porusza się gładko,
Jaskółki szczebiocząc wybiegły z pod wody,
Całe ich unosi się stadko.

(Teofila Lenartowicza „Wiosna”).

Skrzynka do listów.

Literatce dziękujemy za opis tego ślicznego nabożeństwa majowego w ogrodzie. Śmiesznie jest zapewne, jeżeli kto nie wymawia niektórych głosek naumyślnie przez przesadę, lecz gdy rzeczywiście wymówić ich nie może, niema w tem nic śmiesznego.

Czarnuszkę z Kalisza upewniamy, że Gołąbka pocztowa dla wszystkich wypracowań równie jest pobłażliwa i zawsze je sądzi bezstronnie. Nam zaś o to głównie idzie, aby były pisane bez pomocy starszych i z dopełnieniem warunków konkursowych.

Bławatka z nad Horynia zawsze nam wielką sprawia przyjemność swoimi serdecznymi listkami i wcale nie potrzebuje prosić o to, aby ją w redakcji naszej kochano. Pomimo to dwóch na raz listków drukować nie możemy... od przyjętych prawideł nie odstępujemy się dla nikogo.

Buteczka z masłem może pseudonym zmienić, kiedy jęj się podoba. Ten jest rzeczywistnie troszkę zanađto dziecinny dla osóbkł w tym wieku. Ładną bardzo kaligrafią napisała listek Buteczka, radzimy, aby jaknajdłużej dużemi literami pisała, to jędyny sposób wyrobienia sobie porządnego pisma.

Halka dobrze anachronizmy-wyliczyła, ale się troszkę opóźniła więc nie zaznaczyliśmy tego w miejscu właściwym.

Niezapominajka biała może się z odnoszeniem „Wieczorów” rozporządzić, jak jęj się podoba, dla nas to żadnej różnicy nie stanowi. Śliczny upominek będzie miłą bardzo dla nas pamiątką.

Ptaszyna z nad Osławy prawdziwą nam sprawiła przyjemność opisem długim i szczegółowym rzeczy tak ciekawych i zajmujących. Jakże kochana Ptaszyna przypuszczać nawet mogła, ażeby to znudziło kogokolwiek! Podróże są bardzo przyjemne, to pewna, lecz trzeba umieć z nich korzystać odnosić. Pseudonym nowy

nie jest podług nas stosowny, bo używanie wyrazów świętych przy zabawie wygląda na lekceważenie, a pseudonimy nasze są w każdym razie zabawką.

Skowronka z nad Narwi z żalem uwiadomić musimy, że nowy jego pseudonym okazał się niemożliwym musi więc Skowronek obmyślić coś innego np. Orzeł lub Sokół z nad Narwi.

Wisience z nad Sobu dziękuje tymczasem. za listek Gołąbka pocztowa, obszerniej odpisze sama. Dowiedziała się, niewiadomo jakim sposobem, że kochana Wisienka za własne oszczędności kupiła markę do tego listku, i pochwyciło to odrazu naszą Gołąbkę za serce.

Kmiotek trafnie odgadł lamigłówki, szkoda, że oprócz rozwiązania nic więcej nie napisał, więc niema na co i odpowiadać.

Polska dziewczeczka delikatnie nam wymawia, że nie wszystkie listki drukujemy, chociaż to nie jest winą redakcyi, bo na brak miejsca rady niema. Tymczasem i teraz przysłała listek tak długi, że w żaden sposób nie pomieściłby się w całości.

Śnieżycy, Krasnolicy i Fiołkowi wędrownemu, złotym serduszkom, za przesłane kwiateczki zawsze z tem samem uczuciem dziękujemy; Gołąbka pocztowa żałuje niezmiernie, że nie ma na prawdę skrzydełek, bo pofrunęłaby zaraz ponad niwy, lasy, strumienie, uderzyłaby dziobkiem w okienko miłych, kochanych przyjaciółek i wygruchałaby wszystko, czego tu wypisać niepodobna.

Do wszystkich. Listki do innych czytelników i czytelniczek mogą być zamieszczane tylko pod warunkiem, aby były bardzo krótkie i pisane na osobnych karteczkach, nigdy też nie przyjmujemy na raz dwóch listków od jednej korespondentki.

Droga Kukułeczko z nad Niewiarzy! Spełniam teraz moje obietnicę i odpowiadam przez Wieczory. Czy już czytacie „Dwie Siostry” i jak wam ta książka się podoba? Mnie się nadzwyczaj podobała. Jak się bawiłaś na owej majówce? Odpisz mi prędko. Braciom przesyłam ukłony, a Zosi serdecznego buziaka. Twoja Halka.

Moja droga Stokrotko polna biała! Dawno nie pisałam do ciebie, ale już prędko pisać nie będę przez pocztę, gdyż rychło zapewne zobaczymy się i ustnie opowiem ci wszystkie szczegóły mojej podróży do Odessy, zkad jak wiesz niedawno wróciłam. Ścisłkam cię serdecznie wraz z siostrzyczką Bławatką z nad Horynia.

Kochana Polska Dzieweczko! Bardzo mi się podoba twój pseudonym i twoje imię, bo i ja mam siostrzyczkę Hanię. Wiem, że jesteś siostrą Białego szurka; ale ostatni listek twego braciszka nie był wydrukowany dla braku miejsca, więc nic o nim nie wiem. Proszę cię, kochana Dzieweczko o kilka słówek odpowiedzi, i przyjmij pozdrowienie od Buteczki z masłem.

Kozaku! Wielka szkoda, że się nie znamy, gdyż wnosząc z twego pseudonimu, musisz być do mnie z usposobienia podobny. Nazywam się Bronek, liczba liter twego imienia stanowi liczbę moich lat. Napisz mi czy pójdiesz na przyszły rok do szkół i do jakiego miasta, bo teraz mieszkamy bardzo daleko od siebie; zdaje mi się, że jesteś Ukraińcem, a ja mieszkam na Mazowszu w rodzinnej mej wiosce Suleńcicach; bardzo lubię gospodarstwo i konną jazdę. Białą szczurek.

Kochana Przekoro! Jakkolwiek się nie znamy, jesteście kuzynkami. Mieszkasz w Dyblinie, Wańdzia twoje imię; Odpisz, Przekoro i odgadnij, kto pisze do ciebie. Ananasowa Truskaweczka.

Brzózce z galki i Rucie przesyła serdeczne ukłony ich przyjaciółka Halka.

Ciemnowłosa Ruto! Nie wydrukowano twego listku do mnie. Nie zrażaj się tem jednak, i napisz mi, czy należysz do konkursu „o silnej woli”, i czy lubisz grać na fortepianie? Redakcyja tym razem zechce może być lepsza i umieści odpowiedź dobrej i miłej Ruty, gdyż chociaż cię nie znam, w wyobraźni mojej posiadasz te zalety, na których zbywa miłej dziewczeczce.

Kochana Dzieweczko! Chciałabym z tobą korespondować, wiem że się nazywasz Hania, a ja Helusia R. Mam lat 12, mieszkam na Ukrainie, gdzie są wielkie stopy, ale mamy za to śliczny ogród. Bardzo lubię czytać nasze Pisemko. Przesyłam ci pozdrowienie. Literatka.